ROCZNIK V. Nr. 1 (97). 1 PAŹDZIERNIKA 1906.

NOWE SŁOWO

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI.
WYDAWCZYNI I REDAKTORKA: MARYA TURZYMA.

TREŚĆ:

KRAKOW • REDAKCYA I ADMINISTRACYA: UL. SZUJSKIEGO 7.
PRENUMERATA KWARTALNA: 3 KOR. 1 RS. 50 KOP. 3 MAR. 3 FRAN. 50 CENT. ROCZNIE: 12 KOR. 6 RS. 12 MAR. 14 FRAN.

DO CZYTELNIKÓW!

Po kilkumiesięcznej przerwie, spowodowanej przeszkodami niezależnemi od redakcyi, podejmujemy na nowo wydawnictwo „Nowego Słowa“.

Rozpoczynamy piąty rok naszej pracy, aby dalej niezachwianie i wytrwale współdziałać z tymi, co prowadzą ludzkość do wyższej kultury, drogą postępu, żądając w imię sprawiedliwości społecznej, usunięcia krzywd: kobiety, dziecka, upośledzonych klas narodu.

Jak dotąd tak i nadal będzie „Nowe Słowo“ dawać śmiały i szczery wyraz dążeniom postępowym, nie pomijając żadnej sposobności, aby przedstawić poważne zagadnienia i wydarzenia chwili bieżącej, zarówno w przejawach intelektualnego jak i społeczno-gospodarczego życia, w świetle dążeń i poglądów doby obecnej.

W dziedzinie zjawisk kultury duchowej pragniemy dać czytelnikom naszym pełny obraz życia, jak ono się przez pryzmat duszy artysty i myśliciela, w płonące ogniska Idei i Sztuki rozpala.

Wszystkim naszym dotychczasowym przyjaciołom i współpracownikom dziękujemy za życzliwość i poparcie, licząc i nadal na gorliwą i skuteczną ich pomoc, w dążeniach i pracach naszych na tej placówce postępu. Widzimy już wschodzący posiew idei, dla której pracujemy. Ufamy, że wytrwamy na stanowisku aż do bujnego, źrałych kłosów żniwa.

Przypominamy, że „Nowe Słowo“ ma debit w państwie rosyjskiem i może być na wszystkich pocztach lub wprost z redakcyi abonowane.

Redakcya.

CHWILA OBECNA.

Toczy się walka o swobody obywatelskie, o równe prawa dla wszystkich ludzi, o wolność polityczną, o zniesienie przywilejów i usunięcie krzywd.

Wrogami walczących są ci, którzy odmawiają swobód obywatelskich i ci, którzy nie uznają równości wszystkich ludzi pod względem prawa i ci, którzy trzymają ludy w politycznej zależności i ci, którzy z przywilejów kręcą bicze ostre i kaleczące na barki pokrzywdzonych, aby zjednać sobie jednych, a pognębić drugich — wbrew rosnącemu w nieprzepartą moc poczuciu „praw człowieka“ u ogółu.

Z wrogami swobody, postępu, sprawiedliwości, stają do walki jawnie i otwarcie zastępy bojowników, bo tamci jawnie i otwarcie gwałcą sprawiedliwość, tamują postęp — nakładają niewolnicze pęta.

Ale idea postępu ma jeszcze wrogów innych — najniebezpieczniejszych i najtrudniejszych do pokonania. To ci, co pod osłoną haseł swobody, prawa, sprawiedliwości, ideałów narodowych, bronią swoich interesów i swoich przywilejów, zadając walczącym z zasadzek morderce ciosy nienawiści, oszczerstwa, denuncyacyi, zdrady.

Kiedy rozpacz popycha z nieubłaganą koniecznością do walki z przemocą tych, którzy bez wahania życie swoje stawiają na kartę za swobody obywatelskie i prawa polityczne, kiedy pogromy i rzezie potokami krwi zlewają naszą ziemię, kiedy rozpuszczone zagony nawały zbójeckiej nikomu pewności życia i mienia nie zostawiają — wtedy faryzeusze ci, mieniący się partyami umiarkowanemi, zagrzebani w krecich norach swoich przesądów, które zwią tradycyami, w podziemnych ryją ciemnościach, podgryzają korzenie życia, wielkiemi kretowiskami niszczą wschodzące plony, niwecząc owoce, krwawym potem zlanej pracy — długiej i wytrwałej — i żyzną glebę.

Nazywają się: „mądrymi politykami“ — a nie wiedzą, że mądrość ich pozorna, jest tępotą tak beznadziejną, iż mając swoje tylko na względzie korzyści, niszczą sami grunt, na którym te korzyści dla nich nawet wyróśćby mogły.

Tam, gdzie targi się toczą o zyski, każdy mądry kupiec wie, że nie powinien niszczyć i usuwać tego, który więcej żąda od niego, raczej wysuwać go na plan pierwszy i podnosić głośno te jego żądania, bo gdy nadejdzie sposobna chwila, on może swoje skromniejsze żądania wypowiedzieć i... zrobić dobry interes.

Ale nasi „mądrzy“ politycy nie rozumieją takiej prostej rzeczy. Oni, którzy mogliby powiedzieć: „oto, jeżeli nam nie dacie tyle, ile żądamy

referatów, jednak najciekawszym był referat o obronie położnic, z którego dowiedziano się, że pewna kasa chorych fabryki papieru w Badenie, nie wypłacała wsparć niezamężnym położnicom, a to — jak powiada sprawozdanie inspektoratu fabrycznego — aby wpływać umoralniająco (!).

Prawa wyborcze kobiet w Tasmanii. Niedawno kobiety po raz pierwszy wystąpiły jako uprawnione wyborczynie. Na wyborach, szczególnie w stolicy, mieście Hobart, zjawiło się więcej kobiet niż mężczyzn. Miano wybrać 35 deputowanych a wybór zależał od zajęcia stanowiska względem dwóch pytań: 1. Czy gminy mają mieć prawo określać liczbę szynków i 2. Czy szynkarze, którym gmina pozwoli utrzymywać szynki mają wynagrodzić innych, którzy to prawo stracą. Kobiety zobowiązały się głosować tylko na tych kandydatów, którzy twierdząco na obydwa te pytania odpowiedzą i w tym kierunku będą działali w parlamencie. Pokazało się, że liczny udział kobiet w wyborach przechylił szalę zwycięstwa. Na 35 wybranych, 30 zobowiązało się w ten sposób działać i sprawa, która dotychczas nie miała widoków przyjęcia w parlamencie — została zapewnioną.

STARY DZWONNIK.

Czy znacie czar pieszych wycieczek po kraju, w wesołem kółku kolegów, z małym tobołkiem na plecach i kijem w ręce, z miłością kraju w sercu i rozpędem młodości?

Kilka lat temu w takiem towarzystwie przebiegałem wsie i miasteczka, lasy i góry Świętokrzyskie. Wędrowaliśmy wesoło, czerwcowe południe paliło nas, z pól powracały na obiad zmęczone gromady wieśniaków o pooranych zmarszczkami twarzach. Za wsią las się zaczynał. Po chwili ogarnął nas chłód i zapach sosen. Rozłożyliśmy się na polance nad leśnym strumieniem, chciwie wdychając żywiczny powiew, tuląc rozpalone twarze do chłodnej murawy. Nad nami widać było kawałek nieba, jak błękitny rozpięty baldachim ze słońcem — złotą klamrą w pośrodku. Na tej polance spowiadały się dusze nasze matce-ziemi, skarżyły się na tych wszystkich, co im młode podcinają skrzydła i każą wiecznie po błotnistej czołgać się drodze. Użalały się nad nami cichym swym poszumem sosny i jodły, a dąb szeptał słowa zaklęć, przez które rosła w nas siła i moc młodości. Dużo pokrzepienia zebraliśmy na tych naszych leśnych polankach!

Dobrze już było po południu, gdyśmy wchodzili na górę, na szczycie której stoi klasztor Świętokrzyski. Zwiedziliśmy klasztor, a potem za starym dzwonnikiem weszliśmy na wieżę klasztorną, skąd rozległy na okolicę roztacza się widok. Dziś już ten starzec nie żyje, lecz kto dawniej klasztor zwiedzał, ten pamięta zapewnie jego zgarbioną postać z siwą, trzęsącą się głową, głową, jaką widzieć można na starych kościelnych obrazach. Mnie już ze starcem dawniejsza łączyła znajomość, bo nie po raz pierwszy zwiedzałem ten śliczny zakątek kraju. Koledzy zeszli na

dół nasyciwszy się widokiem, a ja zostałem, gawędząc ze starym, obydwaj oparci o żelazną poręcz. Dzwonnik rozmownym był dzisiaj.

„Nie tak tu wówczas wyglądało — mówił starzec, spoglądając w dół na dziedziniec więzienny — zrobili tu teraz więzienie i kręci się po podwórzu pełno tych nieszczęsnych, a staremu się majaczy, że to jego towarzysze. Staliśmy tu przez jednę noc obozem, kiedy już z naszej partyi zaledwie połowa została, a nieprzyjaciel wciąż nam na pięty następował, Ha, dawne to już czasy i wszystko jakby mi mgłą zawlekło! Tylko mi tych dzwonów mgła nie zasłoni i takie same one dziś, jak wtedy, i tak samo zadzwonią one teraz na Anioł Pański, jak i wtedy dzwoniły... w ten wieczór...“ Przy tych słowach chwycił starzec drżącemi rękami za sznury dzwonów i popłynął na falach wieczornego powietrza jęk cichy, później spotężniał odgłos dzwonów w łkanie rozpaczne i znów ucichł w skardze jękliwej. Niektórzy z więźniów, tam na dole, odkrywali ogolone głowy, inni przyklękali na podworcu. Starzec wypuścił sznury z rąk. Spojrzałem na twarz jego i przestraszony chwyciłem go za rękę. Nigdy jeszcze nie widziałem podobnego wyrazu na jego zwykle pogodnej twarzy: pomarszczyła się jeszcze bardziej, wszystkie mięśnie skurczyły się, znać było, że cała dusza musi w tej chwili szarpać się, prężyć męką w tym człowieku. Usiadłem na schodku i posadziłem starego obok siebie. Odetchnął kilka razy głęboko i zaczął mi szeptać jednę z tych tragedyi, jakich wiele jeszcze ukrywają serca ludzi z tego pokolenia.

„Staliśmy tu obozem przez jeden tylko wieczór. Około północy zjawiło się kilku chłopów z okolicy i ostrzegło nas, że silny oddział nieprzyjaciół nocuje w Bodzentynie. Za blizkie to było sąsiedztwo, więc rozkaz wydano: „na koń i w lasy!“ i w chwilę już potem skryliśmy się, jak ryby do wody, w gęstwinach świętokrzyskiej puszczy. Tu było bezpieczniej, ale na wszelki przypadek nie pozwolono rozpalić ogniska i ciszę zalecono najgłębszą. Ułożyłem się w trawie, lecz sen nie kleił mi powiek. Miałem, panie, wtedy dwadzieścia kilka lat. Ojciec mój był organistą w Starej Słupi. Leżąc tak pod sklepieniem z nieba i drzew, myślałem sobie o swoich starych, o tem, jak im tam teraz ciężko być musi. Spojrzałem nagle w górę, a tu jakaś gwiazda mruga na mnie przez gałęzie drzew, zupełnie jakby oko mojej Zośki! A Zośka to była córka gajowego z sąsiedniej wsi. Kochaliśmy się już od roku. To ona przyszła niby z pobożności do kościoła, przy którym był mój ojciec, to ja włóczyłem się po lasach, aby ją tylko zdybać. Nie zdążyłem się nawet pożegnać z nią, gdym wychodził do partyi i męczyła mnie teraz okrutna tęsknica i niepokój, czy jej się jaka krzywda w tych niespokojnych czasach nie wydarzyła. Teraz ta gwiazda przypomniała mi wszystkie chwile, spędzone z Zośką moją. Boże, jak ja pamiętam te chwile, chociaż już mnie ziemia do siebie woła i choć

ona też już dawno nie żyje!... Słuchaj! Czy to one same dzwonią, te dzwony, czy możeś ty poruszył sznur?!...“ — Starzec niespokojnie spojrzał do góry, gdzie wisiały bez ruchu kościelne dzwony. — „Nie, to nic, to mi się tylko przywidziało. Leżałem sobie tak na trawie, w cichym lesie i zdawało mi się, że oto lada chwila wyjdzie z za drzewa Zochna, siądzie koło mnie, przytuli się i razem będziemy patrzeli na mrugającą gwiazdę i jednym tchem wciągali do piersi żywiczne powietrze. Noc była chłodna, ale mnie krew kipiała w żyłach i tuliłem rozpaloną głowę do zroszonej trawy.

„Zośki nie widać. I kiedy ją znów zobaczę? A może już nigdy! Może czeka mnie chłodny bagnet, kula lub gałąź samotna w lesie! I strach mnie zdjął po raz pierwszy, nie strach przed bólem, lecz strach przed tym wyrazem: nigdy! Nigdy już Zośki nie zobaczyć, nigdy już nie całować jej ust i włosów, nie tulić jej do siebie! I zerwałem się z ziemi, zatoczyłem się i oparłem o drzewo. Zdawało mi się, że w piersi czuję już chłód bagnetu, a na szyi ucisk stryczka, a tam w górze mruga gwiazda taka podobna do jej oczu. Minął szał jednak i na jego miejsce przyszło znużenie, które mnie powaliło na ziemię.

„Musiałem spać niedługo, bo ciemno było jeszcze, gdy zbudził mnie ruch w obozie. Podniosłem ciężką głowę i widzę kilkunastu kolegów, skupionych koło wodza. Dwóch z nich trzyma rozpalone łuczywo, a pomiędzy niemi widać jakąś postać kobiecą. Tknęło mnie coś, zerwałem się i przecisnąłem przez tłum towarzyszów. Zochna moja! Tak, to ona. Obejrzała się i uśmiechnęła do mnie trochę z radością, trochę jakby ze zdziwieniem. Zakołowało mi się w głowie i łzy się z oczu puściły. „Zośka! krzyknąłem znowu, co ty tu robisz?“ Chciałem się wyrwać do niej, lecz jeden z kolegów chwycił mnie za rękę i powiada: „Nie krzycz! Dzielna dziewczyna, przeszła prawie przez obóz wroga, żeby nas ocalić! Podobno zwietrzyły nas psie syny z Bodzentyna i gonią za nami“. W tem Zośka podeszła do mnie i dłoń mi ścisnęła: „Jędruś — powiada — uciekajże żywo, to może się jeszcze zobaczymy, a ja już muszę do domu!“ I ani słowa więcej mi już nie powiedziała, tylko skoczyła w las. Chciałem za nią, ale mi zabroniła znakiem ręki. I już jej nie widziałem więcej, aż dopiero tutaj...“ Znowu starzec niespokojnie spojrzał do góry, przez chwilę nasłuchiwał, jakby czekając na odezwanie się dzwonów. I mnie poczęło ogarniać uczucie jakby bojaźni: bałem się, że ogłuszający dźwięk dzwonów przerwie ciszę, lub że oberwią się spiżowe ciężary i zmiażdżą nas obydwóch.

„Tymczasem wszyscy siadali na koń. Siadłem i ja i jechałem razem z innymi, co koń wyskoczy, bezdusznie, nie bojąc się pogoni, nie czując zmęczenia, bo wszystkie uczucia, cała dusza poszła za nią w ciemny las. Nie pomogły dobre konie, otoczyli nas ze wszystkich stron, część wystrzelali w pogoni, innych wzięli żywcem. Ja należałem do tych ostatnich.

O świcie zobaczyłem znów tę stromą drogę, wiodącą od Nowej Słupi do klasztoru, którą opuściłem o północy. Tylko teraz wlokłem się ze związanemi rękoma za koniem dragona. Słońce wschodziło i rzucało krwawe blaski na tę dzwonnicę. W martwocie mojej dostrzegłem jednak, że na długim sznurze u belki wisi dziwny jakiś przedmiot. Nic dokoła siebie teraz nie widziałem, tylko nie wiem dlaczego, wpatrzyłem się całą duszą w ten przedmiot, wiszący pod dzwonami. Podjeżdżaliśmy coraz bliżej i mogłem już rozpoznać ludzką postać, powieszoną pod sercem dzwonu. Zawiał wiatr od lasów i obrócił nieszczęsną tak, że jasny promień słońca padł na jej siną twarz. O Jezu! To Zochna, to była Zochna na tym sznurze u dzwonów! To była moja Zośka!“...

Twarz starego dzwonnika skurczyła się w bólu, a oczy znów z przestrachem spojrzały na sylwetki dzwonów, rysujące się w zmroku wieczornym. Teraz i mnie się zdawało, że dzwony lekko się zakołysały i wydały cichy, jękliwy dźwięk.

Sprowadzając mnie ze schodów kończył stary dzwonnik swoje opowiadanie: „Daleko mnie wywieźli, dużo jeszcze cierpień przeszedłem przez lata wygnania. Od czasu powrotu służę przy tym klasztorze i wzywam ludzi na modlitwę wołaniem tych dzwonów“.

Stanisław Kelles-Krauz.

Ze względu na uregulowanie nakładu, upraszamy dawnych i nowych abonentów o rychłe nadesłanie przedpłaty.

Osobom, które zalegają z prenumeratą za ubiegłe kwartały, przypominamy obowiązek wyrównania jej w najkrótszym czasie.

Prosimy o nadsyłanie adresów osób, którym należy posłać numer okazowy.

Administracya.

Drukarnia Aleksandra Rippera w Krakowie, Zielona 7.

Odznaczony złotym medalem i krzyżem zasługi na wystawie paryskiej 1906 r.

Największy zakład pogrzebowy

JANA WOLNEGO

jedyny w Krakowie, posiadający własną fabrykę trumien.

WIELKI WYBÓR TRUMIEN METALOWYCH I Z DRZEWA.

Główny skład przy ul. św. Tomasza 4, tuż przy placu Szczepańskim. Telefon 331.

Filia przeniesioną została do domu własnego, Mikołajska 10.

Zakład urządza pogrzeby od najskromniejszych do najwspanialszych ze znaną ścisłą punktualnością, uchylając pozostałej rodzinie wszelkich trudów.

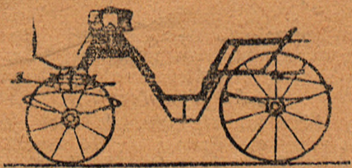
Zakład podejmuje się przewozu i sprowadzania zwłok ze wszystkich krajów Europy.

Ceny możliwie najniższe — na żądanie spłata ratami miesięcznie.

KATAKOMBY (Groby wieczyste)

we wspólnym, wielkim budynku, mogącym pomieścić 160 trumien. Każda trumna osobno ścianami odgraniczona i zamurowana lub zamknięta. — Zamówienia przyjmuje właściciel firmy

Jan Wolny.



Po 1 Koronie

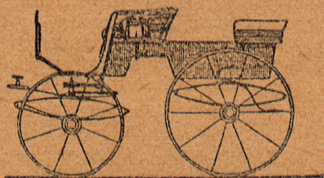
sprzedaję wszelkie pojazdy używane w dobrym stanie graciki, wehikuły gruntownie odrestaurowane tak landa, jak i powozy kryte i otwarte, wózki, kuczery, amerykanki, kabryolety i t. p. we własnych **składach z pojazdami** wagi od 350 kg.

Po 1 Kor. 75 hal.

sprzedaję kilo wózków nowych na resorach, o dwóch siedzeniach, wybitych welwetem, z latarniami, wagi od 200 kg.

Po 2 Korony

sprzedaję kilo nowych powozów małego formatu, mających wagi do 265 kg. z latarniami, bronzami, skórą pokryte: buda, fartuch i siedzenia.





St. Cyrankiewicz właściciel składu powozów

Kraków, ul. św. Jana 30 i Sławkowska 32 (przy Plantach).

Wydawczyni i Redaktorka: Marya Turzyma. Z drukarni Al. Rippera w Krakowie.